

A. C. DOYLE.

TAJEMNICA CZELUŚCI BLUE JOHN

2

Tłum. BRON. FALK

Schodził w dół pod kątem ostrym jakie pięćdziesiąt stóp i zavalony był głazami, które spadły ze stropu. Potem przybierał kierunek prosty. Nie jestem geologiem, ale ściany tego chodnika utworzone były z twardszego materiału, niż wapień, gdyż tu i ówdzie mogłem dostrzedz ślady uderzeń narzędzi dawnych górników, które wyglądały tak świeżo, jakby je pozostawiono dopiero wczoraj. Posuwałem się tym tajemniczym, starożytnym korytarzem, przy słabym świetle, które zaledwie rozpraszało mrok dokoła, wskutek czego ciemności poza jego obrębem wydawały się jeszcze głębsze i groźniejsze. Wreszcie przybyłem do miejsca, gdzie rzymski chodnik przechodził w pieczarę, wydrążoną przez wodę — dużą jaskinię, z której stropu zwisały się długie igły wapiennych stalaktytów. Od tej wielkiej komnaty odchodził, jak widziałem przy słabym świetle, szereg przejść, wyłobionych przez podziemne strumienie i ciągnących się w głąb góry. Stałem nie zdecydowany, nie wiedząc, czy mam zawrócić, czy też zapuścić się w ten niebezpieczny labirynt, kiedy oczy moje padły na coś, co zaciekało mnie w wysokim stopniu, a co ujrzałem u mych stóp.

Dno pieczary było w przeważnej części zavalone odłamami skał, a raczej pokryte twardymi naciekami wapna, ale w tym właśnie miejscu musiała znajdować się w powale szczelina, którą przedostawała się na ziemię woda i muł. W tym mule, w samym jego środku, znajdował się duży, znak — wgniecenie o granicach nie dających się określić, głębokie, szerokie, nieregularne, jakby w tym miejscu spoczywał jakiś wielki ciężar. W pobliżu nie było jednak żadnego głazu, żadnego przedmiotu, któryby mógł odcisnąć się na piasku. Wgniecenie było zbyt duże, aby je odnieść do jakiegoś zwierzęcia, poza tem było jedno tylko, a przestrzeń pokryta mułem była zbyt wielką, aby ją można było przebyć jednym krokiem. Kiedy przestałem oglądać ten szczególny znak i spojrzałem w otaczające mnie ciemności, przyznać muszę, że przez chwilę serce zamarło mi w piersiach i mimo wysiłków świeca zaczęła drżeć w mojej wyciągniętej dłoni.

Opanowałem się jednak wkrótce; szaleństwem było odnosić ten wielki, bezkształtny znak do tropu jakiegokolwiek ze znanych zwierząt. Nie mógł to być nawet odcisk nogi słonia. Postanowiłem zatem nie powodować się bezsensownymi i bezpodstawnymi obawami w przeprowadzeniu zamierzonego przedsięwzięcia. Zanim zacząłem posuwać się dalej, zanotowałem sobie jednak w pamięci szczególnego kształtu blok skalny, tkwiący w ścianie, który mi miał oznaczyć wejście do rzymskiego tunelu. Ostrożność ta była konieczna, gdyż wielką pieczarę, o ile mogłem dostrzec, przecinały liczne chodniki. Zabezpieczywszy się w ten sposób i wypróbowałem moje świece i zapalki, zacząłem się posuwać po po skalistym i nierównym dnie podziemi.

I tak przyszedłem do miejsca, gdzie spotkała mnie nieprzewidziana i straszna katastrofa. Drogę moją przecinał potok, na jakie dwadzieścia stóp szeroki; posuwałem się wzdłuż jego brzegu, aby znaleźć miejsce dogodne do przejścia. Wreszcie ujrzałem pojedynczy, płaski głaz, leżący prawie w środku potoku, który mogłem osiągnąć jednym skokiem. Niestety ciałko jednak, że kamień nie był oparty na swej podstawie, ale podmyty prądem strumienia, tak, że przechylił się pod moim ciężarem i wtrącił mnie do zimnej jak lód wody.

Światło zgasiło i znalazłem się w zupełnej, całkowitej ciemności.

Zerwałem się na nogi, raczej ubawiony, niż zaniepokojony tym wypadkiem. Świeca wypadła mi z rąk i zniknęła w potoku, miałem jednak jeszcze inne w kieszeni, tak, że to nie odgrywało żadnej roli. Wydobyłem jedną z nich i wyciągnąłem pudełko z zapalkami, aby ją zaświecić. I teraz dopiero uprzytomniłem sobie tragiczne moje położenie. Pudełko zamknęło podczas mego upadku w rzekę. Zapalenie zapalek było niepodobieństwem.

Czułem, że serce moje ściska jakaś lodowata dłoń. Ciemność była zupełna i budziła wprost grozę. Stałem bez ruchu, usiłując z całym wysiłkiem zapanować nad moimi nerwami. Starałem się odtworzyć w pamięci mapę dna podziemia taką, jaką widziałem w ostatniej chwili. Niestety! Znaki orientacyjne, które zapamiętałem sobie uprzednio, znajdowały się wysoko, na ścianach pieczary; nie można ich było zmacać rękoma. Jenoż przypom-



„Czułem, że serce moje ściska jakaś lodowata dłoń. Przytuliłem się do ściany...”

Rys. A. Gürtler.

niałem sobie ogólny kształt jaskini i miałem nadzieję, że posuwając się wzdłuż ścian, natrafię wkońcu na wejście do rzymskiego tunelu. Idąc krok za krokiem i ustawicznie chwytając za skały zdecydowałem się na tę rozpaczliwą próbę.

Ale niebawem przekonałem się o bezowocności moich wysiłków. W tych gęstych, nieprzeniknionych ciemnościach straciłem natychmiast orientację. Nie zrobiłem nawet dwunastu kroków, a już nie wiedziałem gdzie się znajduję. Szemranie strumyka, które słyszałem dokładnie, wskazywało mi, gdzie leży, ale z chwilą oddalenia się od jego brzegów, musiałem zacząć błądzić. Pomysł znalezienia drogi w zupełnych ciemnościach przez ten wapienny labirynt był poprostu nie do urzeczywistnienia.

Usiadłem na kamieniu i zastanowiłem się nad moją nieszczęsną sytuacją. Nie wspominałem nikomu o zamiarze wybrania się do kopalni Blue John i było mało prawdopodobne, aby mnie tu zaczęto szukać. Mogłem liczyć tylko na własne siły. Pozostawała mi nadzieja, że zapalki wyschną. Kiedy wpadłem do rzeki, zamoczyłem się tylko do połowy. Mój lewy bok pozostał nad wodą. Wzię-

łem pudełko zapalek i włożyłem je pod lewą pachę. Wilgoć podziemia mogło zrównoważyć ciepło mojego ciała, ale i w tym wypadku nie należało się spodziewać, że zdobędę światło przed upływem kilku godzin. Pozostawało mi narazie tylko czekać.

Na szczęście zabrałem z sobą do kieszeni kilka sucharków. Pochłonałem je teraz i popiłem kilkoma łykami wody z tego przekłętą strumienia, który był przyczyną całego mojego nieszczęścia. Potem wyszukałem sobie odpowiedni głaz i miejsce, gdziebym się mógł oprzeć plecynia i wyciągnąwszy nogi, postanowiłem czekać. Byłem zupełnie przemoczony i zziębnięty, ale próbowałem się pocieszać myślą, że nowoczesna medycyna w takich chorobach jak moja, przepisuje otwarcie okien i spacery bez względu na pogodę. Stopniowo, ukłyszany monotonnym szemraniem potoku i zupełną ciemnością, popadłem w niezdrowy sen.

Jak długo spałem, nie mogę powiedzieć. Może godzinę, a może kilka godzin. Nagle usiadłem w moim skalnym krześle, drżąc ze zdenerwowania, z wszystkimi zmysłami napiętymi do najwyższego stopnia. Nie mogłem wątpić — uszu mych dobiegł jakiś odgłos — odgłos zupełnie różny od szemrania wody. Czułem, że dźwięczy wciąż w moich uszach. Czy to poszukujący może ludzie? Ale ci krzyczeli by zapewne, a chociaż głos, który mnie zbudził, był bardzo niewyraźny, różnił się jednak wybitnie od głosu człowieka. Siedziałem drżący, zatrzymując dech w piersiach. Znowu! I znowu! Teraz słyszę go stale. Było to stąpanie — tak, bezwątpienia było to stąpanie żywej istoty. Ale co za stąpanie. Miałem wrażenie, że jakiś ogromny ciężar posuwa się na gąbczastych odnóżach, wskutek czego powstawał przytłumiony, a jednak zupełnie wyraźny odgłos. Ciemności były nieprzeniknione, ale kroki słychać było dokładnie i w regularnych odstępach. I zmierzały — to nie ulegało wątpliwości — w moim kierunku.

Skóra mi cierpła i włosy zaczęły się jeżyć na dźwięk tych pewnych i ciężkich kroków. To było jakieś zwierzę i to, wnosząc z szybkości, z jaką się posuwało, zwierzę, które widziało w ciemności. Przytuliłem się do skały, usiłując wcisnąć się w jej szczeliny. Kroki zbliżały się coraz więcej, potem przez chwilę nie było ich słychać i teraz uszu moich dobiegło głośnie mlaskanie i chleptanie. Zwierzę piło wodę z potoka. I znowu nastała cisza, przerwana następnie parsaniem i kichaniem, niezwykle głośnie i energicznie. Czyżby mnie zwietrzyło? Nozdrza moje wypełnił przykry, okropny odór, jakby gnijącego ciała. Potem kroki dały się słyszeć znowu. Były teraz z tej strony strumienia. Kamienie chrzęściły zaledwie o kilka kroków odemnie. Zatrzymując dech w piersiach, tuliłem się do skały. Teraz kroki zaczęły się oddalać. Słyszałem plusk wody, kiedy zwierzę przeprawiało się z powrotem przez rzekę i zamierające odgłosy stąpania w tym kierunku, skąd przyszło.

Przez długi czas leżałem na skale, zbyt wystraszony, aby się móc ruszyć. Myślałem o odgłosie, który dobiegł mych uszu z głębin góry, o obawach Arwitag'e'a, o tajemniczym odcisku na piasku i o tym kończym, niezbitym dowodzie, świadczącym, że tu żył rzeczywiście jakiś nieznany potwór, jakieś niesamowite straszliwe stworzenie, które czaiło się we wnętrzu góry. O jego naturze i kształtach nie mogłem sobie wyrobić zdania, wiedziałem tylko, że stąpa cicho, a jest ogromne. Rozum mój, który mi mówił o niepodobieństwie takiego wypadku, walczył z moimi zmysłami, które wskazywały, że jednak to była rzeczywistość. Wkońcu przecież skłonny byłem przypuszczać, że przygoda moja to był jakiś przykry sen i że stan zdrowia mojego stał się powodem halucynacji. Ale przeciw temu przemawia jeszcze jedno końcowe spostrzeżenie, które rozprasza resztki wątpliwości.

Wyjąłem zapalki z pod pachy i spróbowałem, czy są twarde i suche. Potem gdzieś na ustroju potarłem jedną z nich. Zapaliła się, ku mej radości, natychmiast. Zaświeciłem stoczek i rzuciwszy za siebie, w ciemne czeluście pieczary, przerażone spojrzenie, podążyłem czempredziej w kierunku rzymskiego korytarza.

(C. d. n.)